

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 59.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 29 października 1860.
10 listopada

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Mroziński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wieliczka (z pięcią drzeworytami). — Zgon Władysława Warneńczyka (z drzeworytem). — Od redakcyi. — Sprostowanie. — O drodze żelaznej warszawsko-bydgoskiej (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Józef Mroziński.

Pomiędzy zasłużonymi badaczami ojczystego języka, Józef Mroziński pierwsze niezapreczenie zajmuje miejsce.

Urodził się d. 19 marca 1784 r. we wsi Koniuchach, w cyrkule brzeżańskim w Galicyi. Nauki odbył w szkołach austriackich, w których prawie macierzystego języka zapomniał. W 1807 r. wstąpił do pułku huzarów polsko-francuzkich na podporucznika. Następnie przeszedł do pułku 1 legii nadwiślańskiej, gdzie, jako odznaczający się oficer, mianowany był porucznikiem i wkrótce kapitanem. W r. 1811 przeznaczony do pełnienia obowiązków adjutanta w sztabie marszałka Sucheta, w r. 1814 awansował na szefa batalionu.

Przy nowej organizacji wojska za czasów królestwa polskiego w r. 1815, umieszczony został, w stopniu podpułkownika, jako podszeft sztabu dywizyi 1ej piechoty, a w roku następnym postąpił na szefa sztabu téjże dywizyi. W r. 1820 mianowany pułkownikiem w tychże obowiązkach, w roku zaś 1829 generałem brygady i szefem sztabu piechoty.

Odbył bez przerwy kampanie w latach od 1807 do 1814. W r. 1809 ozdobiony został krzyżem legii honorowej, a w r. 1812 mianowany kawalerem państwa francuzkiego, z dotacją roczną tysiąca franków. W r. 1830 otrzymał znak honorowy za lat 20 nieskazitelnej służby oficerskiej; następnie urzędował jako szef sztabu głównego, dalej inspektor rezerw jazdy, a na ostatku dyrektor generalny w komissyi rządowej wojny. W końcu 1831 roku otrzymał dymissyą i w początkach r. 1833 stale osiadł w Warszawie. W roku 1838 otrzymał pensyą dożywotnią, z której niedługo korzystał, bo dnia 16 stycznia następnego roku umarł, przeżywszy lat 55.

Pochowany na cmentarzu powązkowskim w katakumbach. Na kamieniu nagrobnym czytamy nastę-

pnym napis: „Tu spoczywa Józef Mroziński, generał b. wojsk polskich, mąż krajowi i naukom dobrze zasłużony. Urodzony w Koniuchach 19 marca 1784 r., zmarł w Warszawie 16 stycznia 1839 r. Ostatni hołd przyjaźni E. B. R.“

Pierwsza praca literacka Mrozińskiego nosiła tytuł: „Oblężenie i obrona Saragossy w latach 1808 i 1809, ze względem szczególniejszym na czynność korpusu polskiego.“ Obszerną tę rozprawę przyniósł do ówczesnego redaktora Pamiętnika warszawskiego, Feliksa Bentkowskiego, w celu umieszczenia jej

wności nabycia w nim wprawy. Radził mu więc Bentkowski, ażeby starał się wprzód poznać gruntownie mowę ojczystą, nim wystąpi w szranki literackie. Mroziński posłuchał życzliwej rady: począł wczytywać się pilnie w Kopczyńskiego, zastanawiać się nad swym językiem, porównywać go z obcemi, których kilka znał dobrze, i postrzeżenia swoje notować. Przeszedł potem powtórnie swój rękopis oblężenia Saragossy i poprawiony co do stylu i języka, wydrukował cały w tomie XIII Pamiętnika warszawskiego.

Rozprawa ta tyle wówczas miała rozgłosu, że dobijano się o zeszyty Pamiętnika, w których była umieszczona. Mroziński, sam świadek tego krwawego dramatu, najwydatniejszego w całej wyprawie Napoleona Igo przeciw Hiszpanii, korzystał nadto z dzieł francuzkich i hiszpańskich, które opisywały sławną obronę; wykład więc jego jest gruntowny, a przytém pełen życia i barwy miejscowej. Z opisem ruchów strategicznych, połączył on wspomnienia walecznych czynów swych współtowarzyszów oręża, w posród których góruje postać Chłopickiego. Wysoka wartość i treść nadzwyczaj zajmująca téj rozprawy, spowodowały redaktora Biblioteki polskiej, J. K. Turowskiego, że ją niedawno w swym zbiorze przedrukował.

We trzy lata później wydał jako owoc głębokich swych badań nad mową ojczystą: *Pierwsze zasady grammatyki języka polskiego*. Warszawa 1822 w 8ce. Ażeby ocenić całą ważność téj pracy, stanowiącej epokę w dziejach naszego piśmiennictwa, winniśmy choć w kilku słowach objaśnić czém była grammatyka polska przed Mrozińskim i jakie badacz ten dla niej położył zasługi.

Z poprzedników jego na tém polu głównie Kopczyński starał się naukę języka ująć w jakiś system. Przez pół wieku prawie walczył z trudnościami, łamał zawały ile sił mu starczyło, lecz uległ pod ogromem zadania, nie dopiąwszy głównego celu: widział bogactwo języka, unosił się nad niem, ale zasłony nie odchylił, skarbu nie otworzył. Pisma jego tyle tylko zdziałały dobrego, że

dały pochop innym do głębszego rozważenia natury własnego języka. Grammatyka Kopczyńskiego prawdziwym była odmetem samych dowolności: każda niemal głoska wymagała tam oddzielnego dla siebie prawidła, a każda odmiana powtórzenia prawideł na cały alfabet.



JÓZEF MROZIŃSKI.

w tém piśmie. Bentkowskiemu podobał się bardzo sam przedmiot, ale raziła go nieumiejętność władania językiem ojczystym; Mroziński bowiem, pobierając nauki w szkołach austriackich, nie uczył się wcale polskiego języka, a wszedłszy następnie do wojska i przebywając ciągle za granicą, nie miał sposo-

Chaotyczne to pomieszczenie wyobrażeń Mroziński rozświetlił potęgą swego ducha badawczego. Wyśledził on i wykrył naturę mechanizmu naszego języka; pokazał że język polski może mieć foremne kształty i stałe prawidła. On pierwszy okazał, że wszystkie spółgłoski polskie dzielą się na twarde i miękkie, i że przez zmianę jednych na drugie w znacznej części wykonywają się odmiany grammatyczne polskiego języka, przez co właśnie naukę grammatyki polskiej tak dalece ułatwił, że ją dostępną nie tylko dla Polaków, lecz i dla cudzoziemców uczynił (*). Krytyka ówczesna mylnie oceniła głęboki pomysł Mrozińskiego, i to dało mu powód do napisania w r. 1824 bardzo ważnego dziełka, znanego pod napisem *Odpowiedź na recenzję*. W nim Mroziński, oprócz dokładniejszego wyjaśnienia *Pierwszych zasad grammatyki języka polskiego*, wiele ważnych pytań, należących do filozofii grammatyki polskiej rozstrzygnął. Odtąd poczęto układać grammatykę polskiego języka na zasadach Mrozińskiego. Dla ziomek najpierw wydał taką grammatykę w r. 1825 J. Muczkowski, dla Niemców Popliński, Pohl, Suchorowiecki, dla Rosyan Sawinicz, dla Czechów Hanka. Pomysły też Mrozińskiego, rozwinięte w *Odpowiedzi na recenzję*, wydają już w wykładzie grammatyki polskiej niezaprzeczone owoce.

Nie mogąc tu pisać traktatu grammatycznego, porzestać musimy na tym pobieżnym wymienieniu główniejszych reform jakie Mroziński w mównictwie naszym zaprowadził. Warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk, oceniając ważność jego badań, zawezwało go na członka swego, a następnie zaprosiło do deputacji, ustanowionej z grona Towarzystwa dla ustalenia pisowni polskiej, której usiłowania Mroziński z całą gorliwością popierał. Pomnikiem prac deputacji zostało dzieło p. n. *Rozprawy i wnioski o ortografi polskiej* (Warszawa 1830), w którym są zamieszczone i Mrozińskiego rozprawy.

W ostatnich latach życia, poświęcał się z całym zapałem botanice; zebrał też znakomity i kosztowny księgozbiór, złożony głównie z dzieł poświęconych tej nauce, w polskim, francuskim i niemieckim języku.

Zostawił niemało listów zajmujących, które pisywał do swych przyjaciół; z tych dwa mieliśmy w ręku: jeden z dnia 20 czerwca 1816 r., obejmujący trzy arkusze bitego pisma; drugi nieco mniejszy z 15 września 1823 r. Pierwszy zawiera, oprócz wiadomości pobieżnych, dotyczących organizacji armii wojska polskiego, obszerny ustęp o teatrze narodowym, a głównie treść i rozbiór *Krakowiaków* J. N. Kamińskiego; drugi opisuje pochodź pierwszej dywizji piechoty polskiej na rewią pod Brześć litewski. W obu przebija prawdziwy dowcip i humor. Gdyby zebrać można wszystkie listy Mrozińskiego, byłyby one ważnym materiałem dla historyka owych czasów.

Kronika tygodniowa.

W Warszawie dzieją się niestworzone rzeczy.

Mnóstwo osób przychodzi oglądać obraz Simmlera, przedstawiający śmierć Barbary, a ciekawią się, a tłoczą, a podziwiają, prawie tak jakby to był figiel jakiś zagraniczny, a nie obraz rodaka. Naprawdę, nie poznają Warszawian, nie poznają publiczności naszej: gotowiśmy polubić sztuki piękne, zmienić naturę, wyrodzić się. Gotowiśmy na towarzystwo zachęty do sztuk pięknych znaleźć fundusze, zwidzać wystawę, kupować obrazy, robić obstalunki u artystów. Ktoby mi to był przepowiedział przed trzema miesiącami, byłbym mu fałszywe prorocstwo w oczy zarzucił. No, prawda też i to, że takie obrazy jak śmierć Barbary nie co chwila się zdarzają. Powinno to być zachętą dla innych artystów naszych, którzy teraz dowodnie przekonać się mogą, że praca i zasługa najtwardsze lody przełamać potrafią. Dzieła wyższej wartości mają to do siebie, że wywierają wrażenie na niezawcach nawet. I wielu ze zwidzających wystawę, a szczególnie kobiety, tém wrażeniem wła-

śnie się rządząc, podziwiają obraz Simmlera. Wiedziano tam kobiety płaczące, a to jest może najwyższy hołd jaki malarza spotkać zdoła; bo artysta, który łyzy wywołać potrafi, jest i poetą zarazem.

Nieraz już zdarzało nam się pisać o nieświadomości, z jaką wydają się literaci i dziennikarze zagraniczni, ile razy przyjdzie im dotknąć rzeczy naszego kraju dotyczących. Zdawałoby się że Polska jest Otahejtą, i może stolica królowej Pomaré więcej im jest znajomą niż Warszawa. Lecz jakże się temu dziwić? Wszakżeż kilku sprawozdawców dzienników zagranicznych znajdowało się u nas parę tygodni temu, kilka dni tu bawili, a czyliż który z nich korzystał z tego czasu żeby poznać Warszawę, rozpatrzył się w niej, zaznajomić z ludźmi mogącymi mu dać wyobrażenie o stanie umysłowym i społecznym kraju naszego? Gdzie tam. Przyjechali koleją żelazną, poznali hotel, dwie albo trzy ulice, zjedli kilka obiadów i śniadań i pojechali napowrót. Jeden tylko z nich, sumienniejszy od innych, chcąc zbadać na miejscu zwyczaje narodowe, kazał sobie zrobić zrazy polskie i zjadłszy je zawyrokował, że Polacy barbarzyńskie mają pod względem kuchennym nawyknięcia. Inny znów przybrał sobie za cicerona francuzkiego restauratora, od którego informował się o naszym życiu, wyobrażeniach i stosunkach. I dziwił się potem iż takie niestworzone rzeczy o nas piszą, że góry karpackie umieszczają w bliskości Warszawy, a Dnieprowi każą płynąć pod Lublinem. Może to pochodzi trochę i z naszej winy, my bowiem za granicą staramy się tak bardzo wyglądać na cudzoziemców, że cudzoziemcy u nas nie myślą sobie zadawać pracy wtajemniczenia się w nasze obyczaje. Sądząc nawet z niektórych egzemplarzy, jakie przyjeżdżają tam do nich, mogliby oni zupełnie zaprzeczyć nam narodowości; bo jakaż narodowość zdoła malować się na tych, których pierwszym staraniem jest zatrzeć w sobie wszelkie rodzinne cechy? W każdym jednak razie nie usprawiedliwia to panów korespondentów zagranicznych, wydających o nas sąd na żadnych rzeczywistych danych nie oparty. Zrobili oni jak Polak, któryby chciał sądzić Paryż z tego co mu o nim powie jakiś mieszkaniec przedmieścia św. Germana, większą część życia za granicą przepędzający.

Zal się Boże pisać teraz o wydawnictwie naszym. Pograżone ono w dziwnym jakimś letargu, który nie wiem nawet czy zdoła przerwać zbliżająca się epoka święteczna i rachunków noworocznych. A jednak zwykłe już o tym czasie można wiedzieć o jakich przedsięwziętych ważniejszych wydaniach, tak przynajmniej działo się w latach ubiegłych; w bieżącym zapowiadają nam trochę książek dla dzieci, po większej części starych z nową okładką, a zresztą o niczym prawie nie słyhać. Podobno wyprzedaż Stryjanki, nowego poematu Pola, który niedawno wyszedł z druku, dość pomyślnie idzie, sam jednak wydawca twierdzi, że zaledwie 3000 rozprzedanych egzemplarzy zdoła mupowrócić koszt, a 3000, jak na nas, to wielka bardzo liczba i jak z dotychczasowych okazywało się przykładów; bardzo długo na nią czekać trzeba. Różne zamiary i plany taniego wydawnictwa, drukiem nawet ogłaszane, wpadły w wodę, widocznie trudno tu jest o ludzi chętnych i pieniędzy, którzyby dopomogli tym zamiarom przyjsć do skutku. A jednak w ostatnich czasach przybyło nam kilka księgarni, chociaż wcale prawie nie wpłynęło to na ruch wydawniczy. Najlepszy tego dowód mamy na powieściach. Dawniej zdolniejsi powieściopisarze nasi zaledwie z trudnością mogli zadośćuczynić żądaniom wydawców, bo jeżeli nie inne gałęzie literatury, to przynajmniej powieść była pokupną. Wydawca mógł za nią zapłacić i niezłą względnie cenę i jeszcze mieć nadzieję zysków. Obecnie zaledwie w felietonach pism objawi się od czasu do czasu powieść jaka, a księgarz nie ubiega się wcale o nabycie jej, bo jest przekonany, że znaczna część nakładu pozostanie mu nierozsprzedaną. Cóż dopiero mówić o innych książkach.

A jednak w niektórych stronach kraju naszego obywatele wiejscy utworzyli pomiędzy sobą biblioteki składkowe. Biblioteka taka, którą zarządza upelnomocniony przez obywatelstwo, zakupuje wszelkie nowości, i za bardzo nieznaczną miesięczną opłatę, każdy może z niej czerpać. Tego rodzaju zbiorowe przedsięwzięcia przedstawiają najlepsze rękojmię powodzenia i znamy już takie biblioteki, które do wcale poważnych doszły rozmiarów. Gdyby cały kraj

chciał naśladować ten dobry przykład, wydawcy, mając sobie zapewniony odbyć pewnej części swoich nakładów, mogliby łatwiej o nowych pomysłów wydać. Ale kilka lub kilkanaście takich bibliotek nie jeszcze nie stanowi w ogólnej massie, w samym królestwie możnaby ich paręset utworzyć.

Ale... kiedy mowa o składkowych usiłowaniach, ośmielam się zapytać, co też się zrobiło z funduszem zebrany z uroczystości Szyllerowskiej, o którym w swoim czasie tyle rozprawiano i sprzeczano się. Rok już jak ta uroczystość miała miejsce, powinniśmy przecie wiedzieć na jaki cel pieniądze nasze obrócone zostały. Już raz na podobne zapytanie żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, może też tym razem będę szczęśliwszy. Spora to podobno kwota, a u nas na tyle użytecznych rzeczy te pieniądze mogłyby się przydać, że nie należy tego puszczać w niepamięć.

W tych dniach powtórzyła się stara Lafontenowska bajka o skarbie ukrytym. Któres pismo doniosło, że gdzieś w bliskości Żytomiérza odkryto kopalnie złota. Mało nowiu tak potrafiło zająć publiczność, jak wieść o tej wołyńskiej Kalifornii. Ciekawie dopytywano się o to nowe bogactwo krajowe; byli nawet tacy, co twierdzili że w tém nic dziwnego, że cały Wołyń i Podole leżą na złotodajnym gruncie. Tymczasem pokazało się że te kopalnie złota, są tylko kopalniami żelaza. Wyznają że pomimo znacznej różnicy w wewnętrznej wartości tych dwóch metalów, cieszą się z tego nowego odkrycia więcej może, niż z miny złotodajnej. Historia narodów uczy nas, że nieraz na żelazie wychodziły one lepiej niż na złocie, a bogactwo pośrednio wpływające silniej dźwiga pomyślność i dobry byt krajowy, aniżeli bezpośrednio. Nie rachując już nawet na kopalnie w głębi ziemi ukryte, śmiało twierdzić można że cały kraj nasz posiada grunt złotodajny, byleby umieć go zażyć dobrze. A najlepiej przekonamy się o tém w roku bieżącym, bo niemało pieniędzy powinno by wpłynąć do kraju za zboże nasze.

Niestety, każdy medal, jak mówią Francuzi, ma swoją odwrotną stronę. Skutkiem wysokich cen za granicą płaconych, zboże u nas drożeje, pomimo dość pomyślnych urodzajów w całym kraju, i obywatele nasi wiejscy mogą powetować (co daj im Boże) kilkoletnie straty i niedobory. Ale zwykłą koleją rzeczy, przy podnoszeniu się w cenie artykułów żywności, wszystko zarazem idzie w górę, szukając odpowiedniej stopy. Tak się dzieje u nas za każdym podwyższeniem się cen zboża, tak i za granicą, z tą tylko różnicą, że tam kiedy zboże stanieje, to i inne artykuły zarazem spadają w cenie; u nas zaś o tém znizeniu ceny nikt nigdy nie pomyśli. Przed kilką laty podczas nieurodzajów podskoczyły ceny i utrzymały się tak samo w latach urodzajnych, a więc tanich na zboże. Teraz znów idą w górę; na czémże to się skończy? Już i tak życie u nas droższym jest niż w Paryżu; wszelkie towary, wyroby rzemieślnicze i t. p. w przeciągu niespełna dwudziestu lat w dwójnasób podrożały. Dobrze są takie ceny na kraj handlowy, przemysłowy, gdzie pieniędzy obfitość, gdzie zarobek łatwy; ale u nas! I jedno idzie za drugim: krawiec i szewc, płacąc drogie komorne, drą na odzieniu i obówie; właściciel domu znów, zmuszony przepłacać suknie i obówie, podnosi cenę lokalów, żeby się mieć na czém odbić. Dla nich więc jest kompensata; ale cóż robią biedacy, których przychody mniej więcej też same są jak w przeszłym i zaprzeszłym roku, którzy na niczym zgoła strat swych powetować nie mogą? A jednak z takich składa się, można powiedzieć, większość ludności. Niedawno zrobiliśmy wyrachowanie, że w Wrocławiu cały surdut albo frak tyle kosztuje, ile w Warszawie sama tylko robota. I czyż wielka dla nas ztąd pociecha, że nam krawiec przysyła francuzki litografowany rachunek, w którym każda pozycja oddzielną techniczną nazwą jest oznaczona, całe i linie z matematyczną wyrachowane ścisłością, a za całą tę matematykę, francuzki język i litografią, każe sobie podwójnie i potrójnie zapłacić? Co nam przyjdzie z tego, że kapelusznik bierze miarę na naszą głowę, za pomocą jakiejś maszyny uwydatniającej wszelkie jej wklęsłości i wypukłości, kiedy ten sam kapelusz, który obecnie trzeba zapłacić 6 rs., dawniej tylko 3 rs. kosztował? A zaręczyc możemy, że chociaż nie robiony podług maszyny, był jednak bardzo wygodny i trwalszy aniżeli terażniejsze.

Wartoby żeby kto w artykule osobno na ten cel

(*) Aby się o tém przekonać, dosyć jest porównać formowanie przypadku 3 liczby pojedynczej, wzoru II, które u Kopczyńskiego jest umieszczone w Przypisach do Gr. na kl. II, w rozdz. IV, § III, z témże prawidłem podług Mrozińskiego, w *Pierw. zasad. gramm. jęz. polsk.* str. 44; albo też obaczyć „Odpowiedź na recenzję” str. 107 i 108.

napisanym oznaczył różnicę, jaka w przeciągu lat 20 zaszła w cenie wszystkich potrzeb życia. A dodać trzeba, że łatwiej było o pieniądze wtenczas, aniżeli teraz, przynajmniej o pieniądze które słycać było w kieszeni, co w niej zabrzęczały, nie tak jak te nasze papierki.

Słycać że na wzór zawiązanego w Petersburgu pomiędzy urzędnikami towarzystwa oszczędności i wzajemnego wsparcia, i u nas zamysłają o czémś podobnym. Rozpowiadano nam nawet niektóre szczegóły projektu, bardzo dobrze obmyślane i zastosowane do potrzeb miejscowych. Towarzystwo takie posiadałoby wspólną kasę, która w razie potrzeby mogłaby udzielać pożyczki, a to na procent prawny, z zachowaniem jednak pewnych warunków ubezpieczających. Ze zwiększeniem się sumy składkowej, i obręb działania towarzystwa mógłby się rozszerzyć. Mogłoby ono wówczas założyć własną swoją restaurację, skład sukna, warsztaty rzemieślnicze, sklepy z różnemi korzennymi towarami i t. p. I niech nikt nie myśli, żeby podobne rezultaty, których ważność i dogodność jest widoczną, trudnemi były do osiągnięcia. Podpisy łatwoby się zebrały, a każdy, widząc swoją korzyść w regularnym uiszczaniu składek, nie chybiałby pewnie rat naznaczonych. W dalszym rozwinięciu tego zbawiennego projektu, towarzystwo mogłoby dla siebie wlane domy budować; i nie widzimy w tém nic niepodobnego, bo umiejętne obracanie kapitałem składkowym, jak również umiarkowany zysk ze sprzedaży różnych przedmiotów, dla użytku członków potrzebnych, wprędce mogłoby kapitał ten pomnożyć.

Jeden z korespondentów prowincjonalnych doniósł w którémś gazecie, że teatr niemiecki w Łodzi przestał istnieć, a ponieważ po nim zostało się dogodne miejsce i wszelkie przybory, łatwo tam mogłoby znaleźć pomieszczenie jedno z polskich prowincjonalnych towarzystw. Łódź liczy blisko 40,000 mieszkańców, a jakkolwiek znakomitą ich część składają Niemcy, sądzę jednak iż polski teatr mógłby się tam z łatwością utrzymać, bo o tém już przekonywały kilkakrotne przedstawienia amatorskie polskich sztuk, na których nie brakło nigdy publiczności.

W towarzystwach warszawskich cisza najzupełniejsza. W grudniu albo może i w styczniu podobno teatr Dobroczynności z nowemi wystąpić ma siłami; wiadomo nam bowiem że grono amatorów artystów tego teatrzyku powiększyło się kilkoma nowemi osobami. Takie powiększenie, szczególnie pod względem dam, bardzo jest pożądane, bo jak wiadomo, o amatorce trudniej jest aniżeli o amatorów.

Wybięra się do nas na zimę kilka rodzin z zachodnich gubernij cesarstwa, wiadomo nam nawet że niektórzy panowie z tamtych stron zakupili domy w Warszawie, żeby zyskać prawa stałych tutejszych mieszkańców,

Pan Jan Królikowski wyjeżdża do Krakowa, gdzie, jak słycałiśmy, wystąpi w kilku gościnnych rolach, jakoto: w Burgrafach, w Narcyzie i t. d. Pan Wilkowszowski również w gościnnych rolach występował we Lwowie.

WIELICZKA.

Zacząwszy od cudownej legendy o pierścieniu Séj Kingi, czyli Kunegundy córki, Beli IV króla węgierskiego, a małżonki Bolesława Wtydliwego, króla polskiego, wszystko jest cudownem, niezmiernym, w tych obszernych przestrzeniach podziemnego świata, z których od wielu już wieków przemysł i praca ludzka wydobywają nieprzebrane skarby soli, niezbędnego prawie do życia ludzi artykułu. Adam Szreter, który wydał w r. 1543 w Krakowie „*Salinarium Wielicium Descriptio*“ tak tę legendę opowiada: „Bolesław Wtydliwy zaręczył sobie przez posłów Kunegundę w Węgrzech; ta oblubienica, nie chcąc od ojca brać żadnego posagu w srebro i złocie, prosiła go tylko, aby jęj to darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda, pojechawszy do żup węgierskich, ślubną obrączkę tam wrzuciła. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieść po niej jakim czasie do Wieliczki, a gdy za jęj wolą ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól, a w pierwszej jęj sztuce królewską obrączkę.“ Ta sól stanowić miała wiano królewskiej oblubienicy, i za-

prawdę żaden monarcha świata nie byłby w stanie dać swojej córce w posagu tyle, ile już solne skarby Wieliczki przyniosły i ile jeszcze przez następne wieki przyniosą. To podanie ludowe niezupełnie zgadza się z autentycznymi dokumentami historii żup Wieliczki. Jeszcze Bolesław Krzywousty, w r. 1105, między innymi nadaniami benedyktynów w Tyńcu, ustąpił im także *ad magnum salem quatuor targowe et quatuor taberne*. Długosz w tomie pierwszym na stronie 658 wspomina, pod r. 1237, a więc na dwa lata przed zaślubinami Bolesława z Kunegundą, że o wiele wcześniej istniały w Polsce żupy solne. Kronikarze także twierdzą, że sól była otrzymywana z warzenia wód słonych, ta zaś którą Sta Kunegunda odkryła, była sól kopalna, o czém wyraźnie mówią Miechowita, Długosz, Kromer i Decius. Mimo tych dowodów, że sól wydobywana była w Wieliczce przed przybyciem Séj Kingi do Polski, nie możemy odsądzić tej królowej od zasługi, jaką jęj ludowe podanie przyznaje, i przypuścić należy, że te kopalnie wśród wojen i napaści tatarskich zniszczone lub zaniedbane, za sprawą pobożnej małżonki Bolesława na nowo zostały urządzone i do użytkowania doprowadzone. Że w tym czasie w kopalniach tych zaprowadzono porządniejsze gospodarstwo i że z nich wielkie już ciągniono korzyści, dowodem tego są liczne z tej epoki darowizny w soli dla kościołów ustanowione i wykaz dochodów z żup wielickich. Dokładne jednak wiadomości o sposobie prowadzenia robót i zarządzie tych kopalni mamy dopiero z czasów Kaźmirza Wielkiego. Za tego króla istniały już cztery szyby w Wieliczce: Świętosławski, Horysiewski, Regni, czyli królewski i Wodny.

Król ten otoczył miasteczko Wieliczkę murami i policzył do sześciu miast (Kraków, Sandecz, Bochnia, Wieliczka, Olkusz i Kaźmirz), z których Kaźmirz W. wyznaczył po dwóch rajców do dawania ostatecznych wyroków w sprawach sądzonych wedle praw magdeburskich, urządził żupy i porządek postępowania przepisał, a zabytek ten ustaw górnicznych czytać można w *Volum. legum T. I str. 130* i zarząd ich powierzył najprzód Wojciechowi Poryn, Francuzowi (statut. Herburta), a po nim Wierzyńskowi. Za Władysława Jagiełły zarządzał żupami Piotr Piccaroni i Abr. Aggeryusz. Kaźmirz Jagiellończyk mieszczanom wielickim nadał przywilej r. 1451, że im tylko, obok mieszczan krakowskich, wolno było utrzymywać kramy na składzie krakowskim, i w nich w czasie jarmarków sól przedawać. Była wolna także Wieliczka, równie jak Bochnia i Olkusz, od postoju żołnierzy i zaciągu robotników do wojska, co przez konstytucje na sejmach r. 1633 i 1658 zatwierdzono.

Żupy wielickie składały część dochodów stołowych królów polskich, i to od bardzo dawnych czasów, bo jeszcze Bolesław Wtydliwy Henrykowi Brodatemu wyznaczył dochody z Wieliczki.

Częstokroć królowie polscy wypuszczali prywatnym żupy wielickie w administrację dzierżawną, zastrzegając sobie regularne wypłaty assygnowanych pensyj i kwarty, jak np. Jan III wypuścił żupy wielickie w r. 1674 na lat cztery swoim sekretarzom, Adamowi Kotowskiemu i Wawrzyńcowi Wodzickiemu.

Starania jakich królowie i sejmy dokładali o utrzymanie w porządku żup solnych, okazują że dawali na nie szczególne baczenie, a konstytucja z r. 1688 uchwaliła, aby co dwa lata zsyłać komissarzy do żup, którzy mieli doglądać, aby w salinach szkody i ruiny nie było.

Że ostrożność ta i nadzór potrzebnymi były, okazują to dwa wypadki pożarów wzniesionych w kopalniach. Pierwszy zdarzył się w r. 1510, gdy jeden z robotników podrzucił ogień, z którego dym pozostały wielu górników podusił, a inni, ratując się, karki połamali. Pożar ten ugasili z narażeniem życia Andrzej Kościelecki i 70-letni rajca krakowski Betmann. Drugi pożar powstał 16 grudnia 1644 w szybie Bonara (już nieistniejącym), gdzie przez nieostrożność zapaliło się siano. Dym podusił mnóstwo ludzi i koni, a pożar trwał przez rok cały. Obie wojny szwedzkie niemalé téż szkody wyrządziły Wieliczce, łupiły ją kolejno szwedzkie i polskie, a w drugiej wojnie i saskie wojska.

Wieliczka leży o 1 3/4 mili od Krakowa na Wschód pomiędzy piaszczystymi wzgórkami, w dolinie jak się zdaje z biegiem lat powstałej, są bowiem wspominki w kronikach, że dawniej z miasta widać było Kra-

ków. Ma blisko 7000 ludności, która składa się z paruset rodzin urzędniczych, z półtora tysiąca górników z rodzinami i przeszło tysiąca Żydów zamieszkałych w przedmieściu *Klasna* zwanem. Połączona pobocznymi kolejami z główną od Krakowa ku Lwowu biegnącą, zyskała wiele na ułatwieniu komunikacji.

Geologiczny opis Wieliczki najdokładniej skreślił zasłużony professor Zeisner i z jego rozprawki główne rysy, w skróconej treści, podajemy.

Pokład solny w Wieliczce składa się z ilów samych margli dolomitycznych, czarnych i czerwonych, gipsu, anchidrytu (gipsu bezwodnego) i soli kuchennej, a to wszystko pokrywa piaskowiec karpatowy.

Od najdawniejszych czasów odróżniano w Wieliczce trzy odmiany soli, różne co do wielkości ziarn i obcych ciał domieszanych, tudzież właściwego położenia; nie są to jednak gatunki, tylko miejscowe odmiany właściwe tej kopalni, nazywane solą *zieloną*, *spizową* i *szybikową*.

Sól *zielona*, jest to odmiana wielkoziarnista układu blaszkowatego; domieszany jest do niej zwykle szary i drobne igielkowe kryształki białego gipsu. Właściwy jęj kolor przy świetle dziennem jest szary, lecz że w kopalni, trzymana przed światłem, zielonawo przyświeca, przeto nazwano ją zieloną.

Sól *spizowa* jak się zdaje nazwę tę otrzymała od robotników z ziemi spiskiej sprowadzonych, którzy zapuściwszy się w głębsze warstwy kopalni, pierwsi ją wydobyli. Odmiana ta składa się z cienkich, podłużnych kryształów, kolor ma ciemno-szary, odłam blaszkowy świeci żywym, prawie dyamentowym połyskiem. Części domieszane do niej stanowi prawie wyłącznie piasek kwarcowy półprzezroczysty, biały.

Sól *szybikowa* stanowi pokład pod obiema poprzedniami i nazwę dostała od szybów niesięgających wskróś przez całą kopalnię, tylko kończących się na jednym z piątr. Ta sól jest najczystsza, nie ma prawie żadnych obcych części domieszanych, znajduje się w formie kryształowej, a kryształy jęj dochodzą niekiedy bardzo znacznej wielkości i są prawie zupełnie przezroczyste.

Odmianą podrzędną tej ostatniej jest tak zwana przez górników sól *oczkowa*, także *jarka* lub *perłowa*, składająca się z białych kryształów, tak słabo spojonych, że za lekkim uderzeniem rozpadają się. Sól strzelająca stanowi wierzchni pokład soli szybikowej. Wielkoziarnista, prawie bez żadnej obcej domieszanki, włożona w wodę przy rozpuszczeniu się trzeszczy, skutkiem wydobywania się zawartego między jęj cząstkami gazu wodoru węglowego.

Górnicy odróżniają jeszcze w każdej z tych głównych odmian rozmaite stany skupienia, barwę, czystość i t. p.; ztąd różne nazwy, jakoto: sól oczkowata, naciekowa, włóknista, zuber i t. d, których wliczenie przechodziłoby zakres naszego opisu.

Oprócz wymienionych powyżej obcych minerałów, przegradzających pokłady solne lub z niemi się mieszających, ważną dla ocenienia wieku i pochodzenia tych pokładów wskazówką są znajdujące się w nich liczne skamieniałości zwierzęce i roślinne, wszystkie prawie należące do młodszych pokładów ziemi.

Co może znajdować się pod znanymi dotąd warstwami soli, niewiadomo, bo chociaż zapuszczono się już na 700 stóp paryzkich pod ziemię, dotąd jednak jeszcze tylko sól znaleziono; czy głębiej znajdują się nowe znów odmiany soli, czy pokłady innych minerałów, nieprędko się zapewne dowiemy, bo obecnie daleko korzystniej okazuje się dla robót górniczych posuwać się wzdłuż pokładu, aniżeli wgłęb' się zapuszczać. Z układu warstw i skamieniałości zwierząt morskich, tudzież nadbrzeżnych lądowych roślin, najprawdopodobniej wnosić można, że pokład soli w Wieliczce był nadbrzeżnym osadem pierwotnego morza, chociaż niektórzy geologowie chcieliby jęj naznaczyć wulkaniczne pochodzenie.

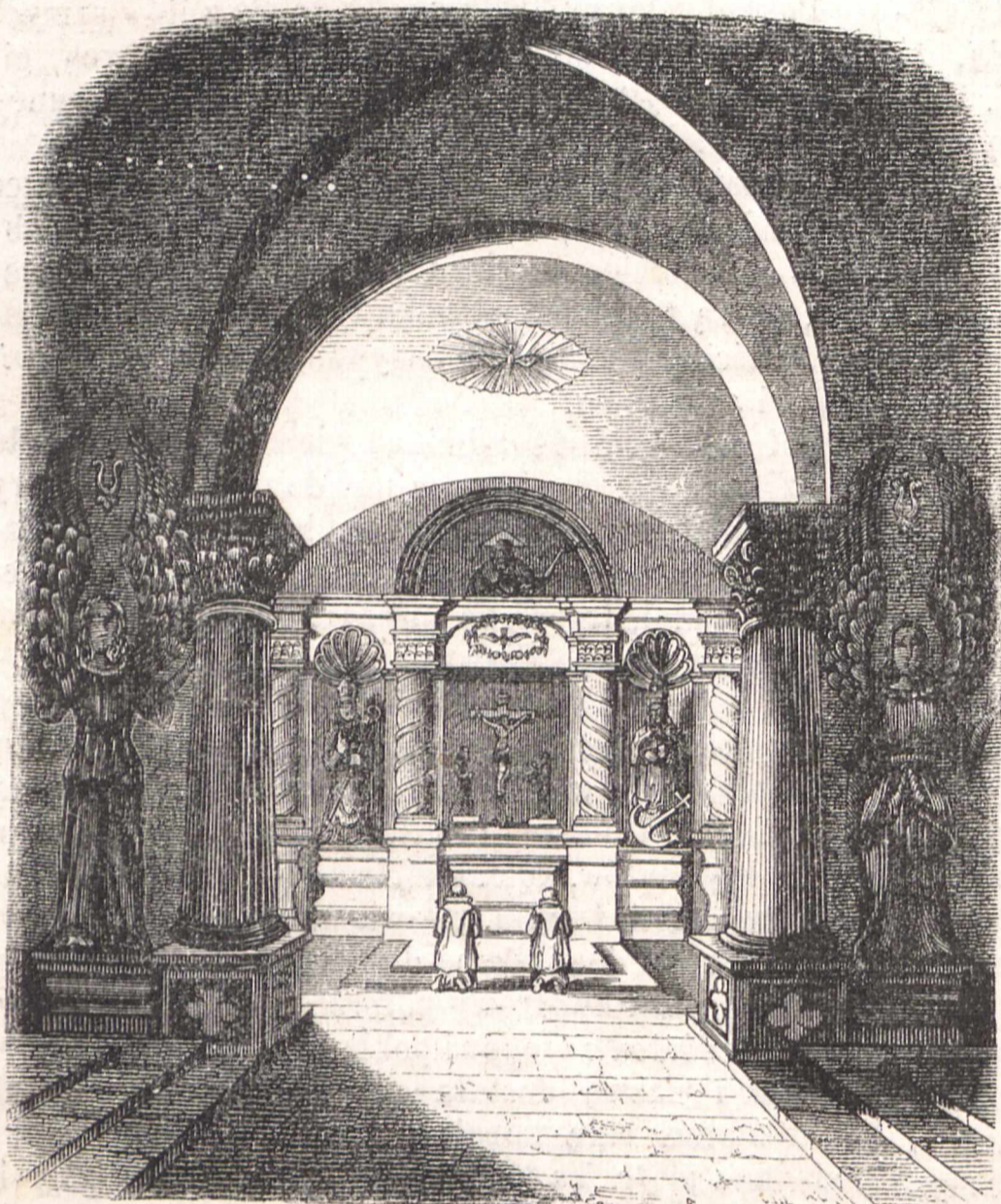
Przejdźmy teraz do samego opisu kopalni. W tym celu zstąpimy w te największe w świecie otchłanie, wykute ręką ludzką na 1500 sążni w długość, 600 w szerokość, a 150 w głębi, t. j. sięgających na 114 stóp pod poziom morza. Dawniej nie moglibyśmy tego uczynić, bo niegdyś królowie polscy, chcąc górników osłonić od samowolności i nadużyć szlachty, pod karą śmierci i konfiskaty majątku zabraniali komubądź obcemu wejścia do kopalni wielickiej. Dziś wstęp do nich wolny jest każdemu codziennie, wyjąwszy świąt, przyczem zarząd dodaje przewodników, bo

w tym labiryncie galerij krzyżujących się we wszystkie strony, łatwoby można zabłądzić. Zwiedzający zapisuje się najprzód w księgę, w której znajdują się już nazwiska podróżnych ze wszystkich prawie stron świata, wielu znakomitych dostojenstwem lub nauką. Już król Jagiełło zwidzał te kopalnie w roku 1424 z przybyłymi na koronację jego małżonki Zofii, cesarzem Zygmuntem, Erykiem królem duńskim, czter-

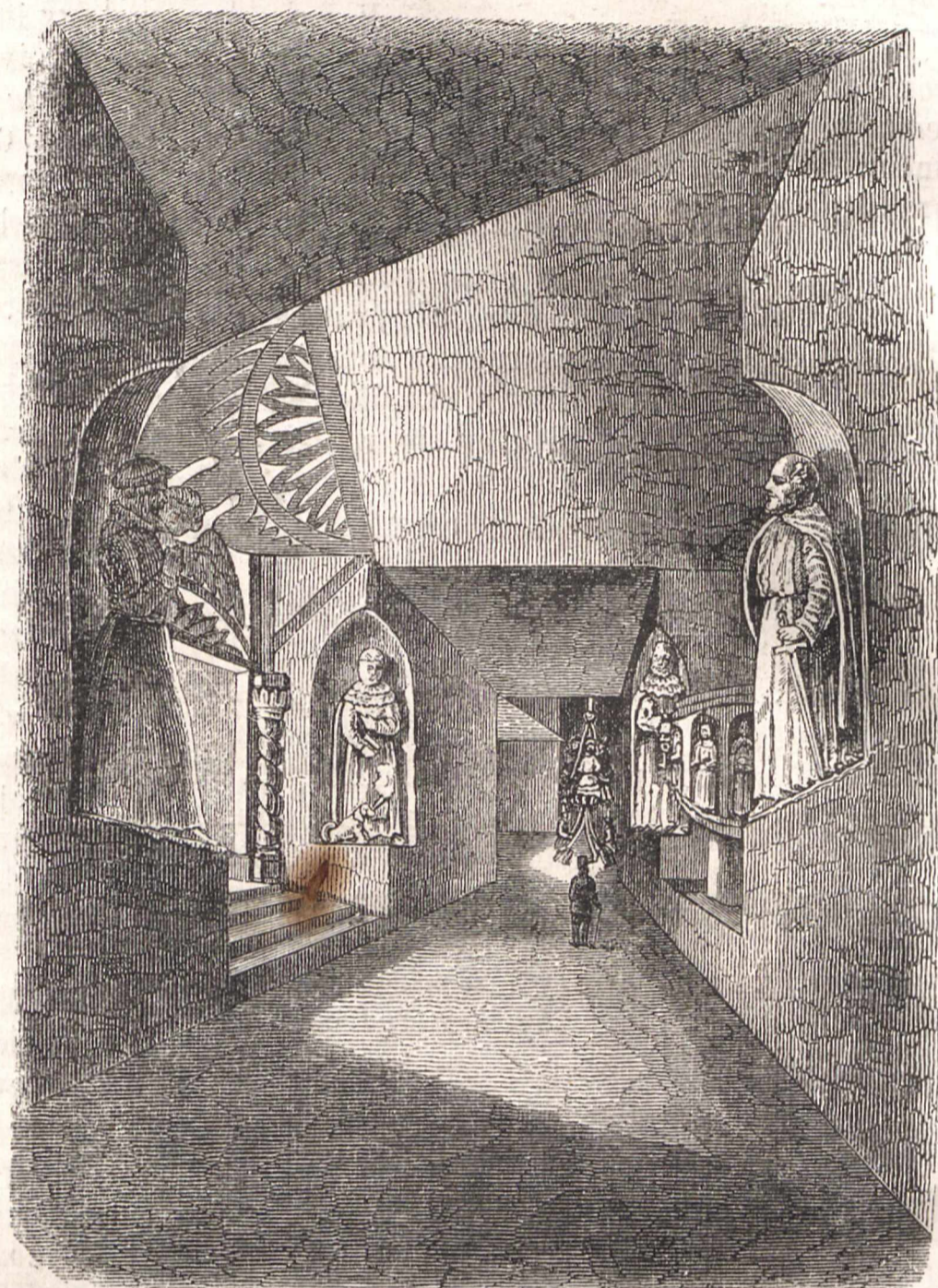
Dawniej schodów nie było, pierwsze wystawił król Jan III, ale te zawaliły się w r. 1716. Terazniejsze o 260 stopniach, drewniane, znajdują się w szybie cesarza Franciszka. Temi schodami a następnie drogą pochyłą mającą 109 stopni wchodzi się w głębokości 34 sążni wiedeńskich na pierwsze piętro, w którym poczynają się pokłady soli. Kopalnia przez długi bardzo czas ograniczała się na tym pokładzie, i wybrano z niego tylko sól zieloną; dopiero w r. 1657 zapuściwszy się głębiej, znaleziono sól spiżową a następnie szybikową.

Już tu czujemy się jakby w innym świecie, blask słońca, jasność dnia, różnobarwna roślinność i wszystko co wzrok nasz na powierzchni ziemi zajmuje i cieszy, znikło dla nas; jesteśmy wśród głębokiego i cichego podziemia, którego ściany jednostajne, szare, błyskają tu i owdzie kryształkami, odbijającymi czerwony blask kagańców, a jednak co krok nowe tu spotykamy widoki, bo pracowita ręka tylu pokoleń górników, wydobywając na wierzch nieocenione skarby, wyżłobiła otchłanie pełne piękności. Na samym wstępie uderzają nas rozchodzące się na wszystkie strony podziemne korytarze, zwane przez górników piecami, zwykle na 9 stóp szerokie a na 12 wysokie, ciągnące się zaś prosto na parę set sążni długości. Tak rozciągniętych chodników nie mają żadne w świecie kopalnie. Takie korytarze tworzą się albo przez rozsadzanie mass solnych prochem, albo przez odry-

wnięj czystej soli i szarego iltu ciosanego w wielkie bryły sześciennie. Drzewo dawnych kaszt przejęte na wskroś cząstkami solnemi nie ulega wcale psuciu się i po kilkuset latach wewnątrz wygląda jakby dopiero wczoraj było do kopalni wpuszczone.



KAPLICA Św. ANTONIEGO.

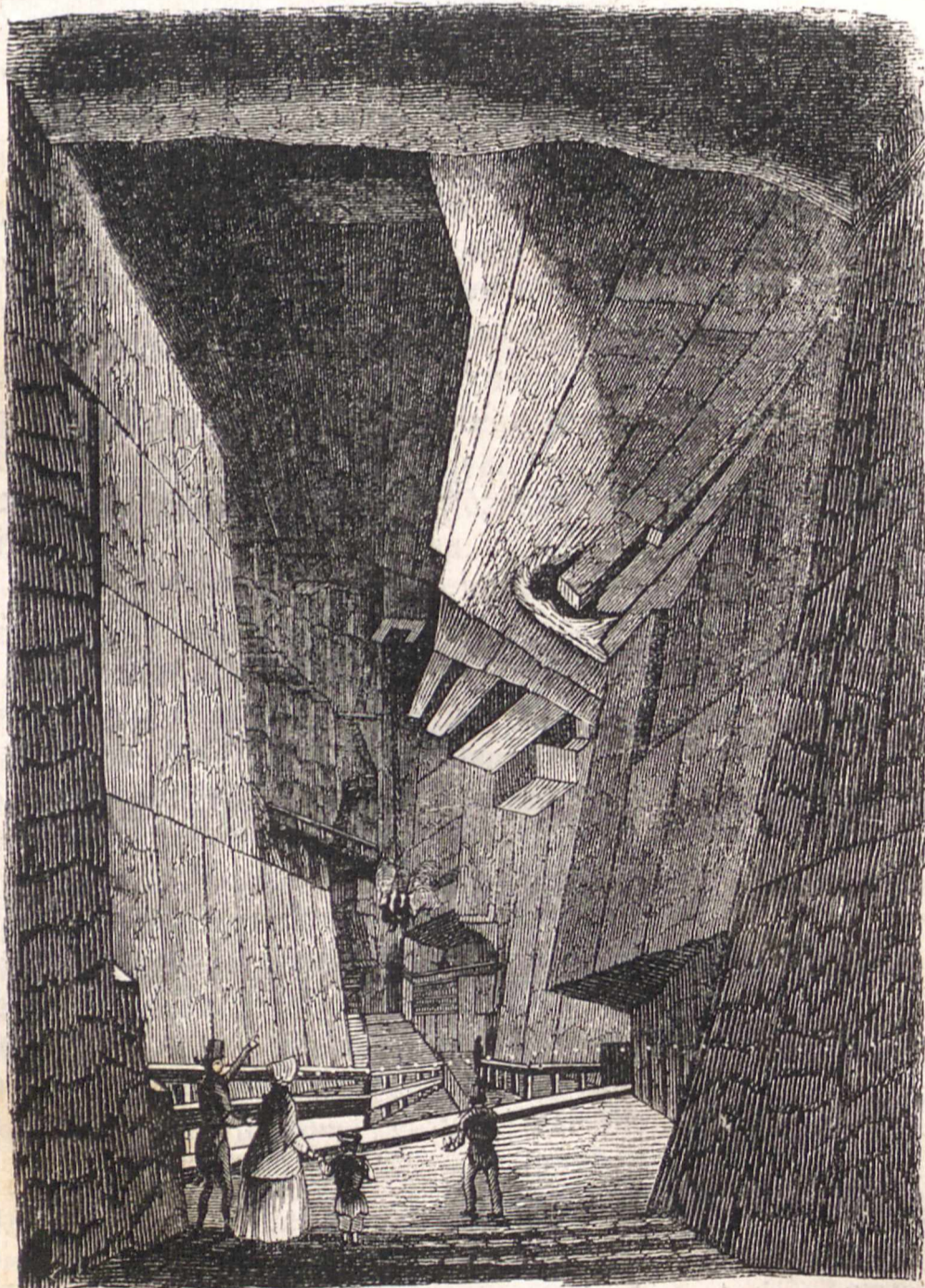


KRUCHTA KAPLICY Św. ANTONIEGO.

nastoma książętami i licznymi posłami innych dworów, a nasz Kopernik zachęcił do zwidzenia tych podziemi wielu znanych mu współczesnych uczonych z Niemiec, Szwajcaryi i innych krajów Europy. Przy zapisaniu się do księgi dają gościowi płaszcz biały, dla ochrony odzieży od wilgotnych ścieków sol-

wanie ich klinami. Robotnicy zawsze mają w salinach przygotowaną minę, dla zapalenia jej w obec zwiedzających, lecz i odrywanie klinami przedstawia widok bardzo interesujący, i dziś używają go nierównie częściej jak wysadzania prochem. Jest to prawdziwie wspaniałe widowisko, kiedy taka bryła (zwana przez górników klopec) mająca około 15 stóp wysokości, 6 szerokości, 2 grubości, a ważąca 50 do 60 centnarów wiedeńskich (70 do 84 cent. polskich), oderwana klinami żelaznymi od ściany, najprzód zaczyna się wahać, a nareszcie z hukiem, któremu długo ponure echa podziemne odpowiadają, wali się na ziemię. Bryła taka zwykle w upadku kruszy się na kilka części, a z tych dopiero górnicy ociosują *balwany* mające kształt beczek, ważące teraz około 300 funtów, a za dawnych czasów dochodzące do 30 centnarów, dalej tak zwane *kruchy*, to jest równoległością od 30 do 60 funtów. Nakoniec drobne kawałki soli ładują się w beczki obejmujące 560 funt., lub w półbeczki mające 280 funtów.

Powiedzieliśmy że szybem nazywają górnicy otwór prostopadły w głąb wycięty czworograniasto, jak zwykła studnia i najpospoliej wycembrowany drzewem, a jeśli taki otwór nie wychodzi na powierzchnię kopalni tylko od jednego piętra do drugiego, wtedy się zowie szybikiem. Otóż w naszej podróży od scho-



KOMORA STEINHAUSER.



KOMORA CESARZA FRANCISZKA.

nych i pokazują piękne jedwabne płaszcze, których używały osoby panujące przy zwidzaniu kopalni.

Dwojakim sposobem można zejść do kopalni, albo spuszczać się, albo po wschodach, przyczem przyświeca mdły blask górniczych kagańców, niesionych przez młodych chłopców rozpoczynających tu naukę.

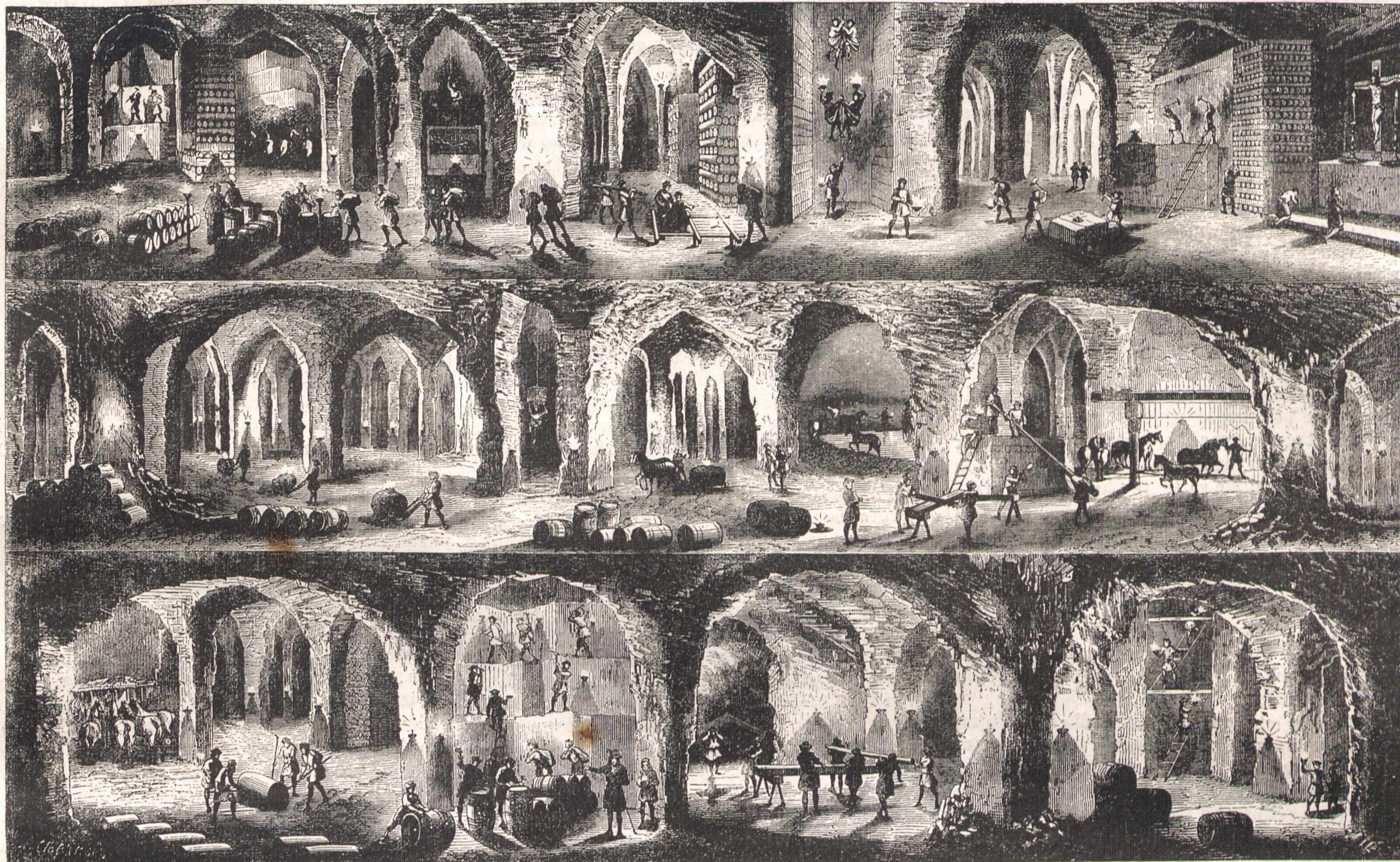
podpory, kładąc na przemian szereg pni jedno w poprzek na drugich; taką podpórę widzimy dokładnie na obrazie komory Klemens. Ale od czasu jak lasy pobliskie wyniszczono i drzewo doszło do cenięszczenia wysokich, zaniechano tego kunsztownego sposobu i górnicy murują teraz takie słupy z naj-

dów, któremi zeszedliśmy w głąb kopalni, wszedliśmy w długi ku południowi ciągnący się korytarz, napotykamy szybik nazwany Antonia, którym z głębszych pięter na pierwsze wyciągają sól w sieci z grubych powrozów, na linie mającej 4 cale średnicy, za pomocą kieratu obracanego przez konie. Tu spojrzawszy uj-

rzymy w głębokości przeszło 50 sążni kaganki górników ładujących sól do windowania i to nam daje pierwsze wyobrażenie o głębokości tych kopalń, cho-

Ave Maria, dzwony wiejskich świątyń uderzają po dziewięć razy, dając hasło do modlitwy za poległych, tak króla Władysława zwanego *Warneńczykiem*, jak

wój Jadwigi, syn jego małoletni Władysław III został jego następcą 1434 r. W piętnastym roku życia doszedłszy pełnoletności, objął władzę królewską.



WIDOK OGÓLNY WNETRZA KOPALNI SOLI W WIELICZCE, W PRZECIĘCIU.

ciaż to jeszcze ledwie część tej otchłani. Postąpmy nieco dalej korytarzem południowo-zachodnim a wejdziemy na wielki plac zwany komorą Urszuli. Ogromna ta przestrzeń czworoboczna, z ścianami z kryształów soli złożonemi, daje nam pierwsze wyobrażenie o obszernych przestrzeniach tych kopalń, jak szybik Antonia dał nam pojęcie o jej głębiach; ale jak ten szybik drobnostką jest w porównaniu na przykład szybu Wodna góra, głębokiego na 130 sążni, tak komora Urszula jest zaledwie izdebką przy komorze Michałowic, mającej 144 stóp długości, 84 szerokości, a 108 wysokości.

(Dokończenie nastąpi.)

ZGON WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA

Dnia 10 listopada 1444 r.

„W poniedziałek półksiężyc pełnia,
Czy Dunaju prądy tak się welnia
Na warneńskim przezrocystym polu?
Wzdy to pułki, sprawione w półkole,
Stoją cicho: czy w śpiączki wybite,
Czy bezpieczne, czy już boju syte?
Ni syte, ni wybite, wszak w zbroi
Pełnej husarz przy rumaku stoi,
Za pawężą drabik z robotną,
Łuczni z łukami, król z drużyną.”

Lucyan Siemiński. (Potrzeba warneńska)

Dziś właśnie kończy się lat 416, jak na polach Warny stoczono krwawą a pamiętną walkę z Turkami. Zawrzał tu bój zażarty o zwycięstwo krzyża czy półksiężyc, i ostatni zatryumfował wśród potoków krwi przelanej i stosów chrześcian poległych.

Przywodzim tu na pamięć ten smutny dramat, jako w bolesną rocznicę, wiążącą nas ogniwami wspomnień z odległą przeszłością. Dotąd nasz kościół zachowuje pamiętkę tej klęski i śmierci bohaterów młodego Jagiellończyka; w wielu okolicach kraju, po wezwaniu wiernych do pozdrowienia anielskiego

i tych mężnych rycerzy krzyża, co zginęli obok niego w tej walce.

Po zgonie Władysława Jagiełły, co skojarzył sojusz Litwy z Polską przez zaślubienie królo-

Po śmierci cesarza Alberta wybrany na tron węgierski, wyruszył z Polski i przyjął tron ofiarowany. Nie tu miejsce opisywać zatargi o tę koronę z Elżbietą wdową po cesarzu, toczone walki i szczęśliwe uspokojenie Węgier; mamy bowiem tylko na myśli dać czytelnikowi obraz bitwy warneńskiej.

Utrudzeni Węgrzyni ciąglą walką z Turkami, pomimo odnoszonych świetnych nieraz zwycięstw, zapragnęli gorąco pokoju: pragnął go i sam Władysław, widząc że tym sposobem zaburzenia w Polsce uciszy, a ład i porządek w Węgrzech utwierdzi. Nie podając przeto ucha natarczywym namowom papieża Eugeniusza IV, Wenecyan, Genuńczyków i Filipa księcia burgundzkiego, którzy wysławiając szczęśliwe zwycięstwo zeszłego roku nad pohańcami odniesione, zachęcali do nowej wyprawy, przyrzekając nawet posiłki i wystawienie floty na Helesponcie, która nie pozwoli Turkom z Azji przepawić się do Europy, — Władysław przybył d. 1 lipca 1444 r. do Szegedina i zawarł z niemi korzystny pokój na lat dziesięć. Król zaprzysiął warunki na ewangelii, posłowie tu-reccy na alkoranie.

Jeżeli warunki tego pokoju ucieszyły zarówno Władysława, jak cały naród węgierski, srodze za to dotknęły Juliana Cesariniego, kardynała i legata Eugeniusza papieża. Nie mógł otwarcie występować przeciw tak widocznym korzyściom dla Węgier i przeciw ogólnemu życzeniu wszystkich, ale bolał srodze, że jego to rady i namowy sprawiły, iż papież, Wenetowie i książę burgundzki wyprawili na Helespont flotę, że go teraz albo o próżność, albo o zdradę posądzają.

Niedługo przyszły listy z Rzymu od papieża z doniesieniem: że sułtan z całą



ŚMIERĆ WŁADYSŁAWA WARNEŃCZYKA.

niemal swoją armią wyprawił się do Azji; że flotta sprzymierzona chrześcijańska tak dobrze osadziła brzegi, iż niepodobna mu przejść z Azji do Europy; że przeto zdarza się dobra sposobność uderzenia na nieprzyjaciela krzyża i wyparcia go z ziem zajętych; że król winien pamiętać na wiarę i przyrzeczenia dane chrześcijańskim monarchom; wzywają go więc aby wyprawy nie zwlekał, kiedy oni już swoje posiłki wyprawili. Jan Paleolog, cesarz grecki, nadesłał także list z dawniej Sparty dnia 30 lipca 1444 r. pisany, w którym wzywał na pomoc króla Władysława III.

„Trudno mi wierzyć (pisze) aby wśród tak mnogich, tak niespodzianych nadziei zwycięstwa, cisnących się do rąk waszego majestatu, wasza królewska miłość, broń złożony, miał raczej skierować umysł do pełnego zdrad pokoju, niż przystąpić do pomnożenia potęgi i chwały wiernych, do zatarcia odwiecznej hańby chrześcijaństwa, do wytepienia bezczynnych i okrutnych Turków, którzy sromotnie i najbezbożniej wiarę naszą i imię chrześcijańskie przesładują. Wszakże, aby po wszystkie wieki chwała wasza nie zamikła, aby potomność majestat wasz błogosławieństwem otoczyła, chciej przewyższyć wielkością Tytusa, który po trzydziestu Żydów za jeden pieniądz przedawał, mszcząc się za to, iż Chrystusa za trzydzieści srebrników sprzedali. Jeżeli zaszyły jakie umowy słowne, rozkaż je cofnąć, powróć królu do pierwotnych wysokich zamiarów, nad które nie wspinał się, nie świętszego wynaleźć niepodobna. Wszystkie ludy chrześcijańskie przez Turków zhołdowane, życie, oręż i dostatki mają w pogotowiu; wszyscy czekają przybycia waszego majestatu z takim utęsknieniem, z jakim ojcowie święci czekali przybycia Chrystusa.“

Kiedy te listy odczytano w obec króla i panów radnych, jakiś nagły srom wszystkich umysły i serca opanował. Korzystał z tej chwili kardynał Julian Cesarini, a gdy nie mógł sławnego Grzegorza z Sanki przeciągnąć na swą stronę, podniósł sam głos wymowny w radzie i zapewnił że papież pokój zawarty rozwiązuje i unieważnia, a króla i wszystkich którzy w tym udział mieli od przysięgi i zobowiązań uwalnia.

Na te słowa prawie wszystkich głosy były za wojną: wstydem byłoby albowiem opuszczać tych, co się uzbroili jedynie na prośbę i domaganie się Węgrów i Polaków. Uwiadomiono przeto o tym kardynała Franciszka, dowódcę floty, równie jak cesarza greckiego.

Na wieść tak niespodziewaną Polskę smutek ogarnął. Zwołano zjazd do Piotrkowa i przeznaczono na posłów do Węgier Władysława z Oporowa biskupa włocławskiego i Jana z Pilicy, aby przypomnieli królowi, że zaprzysiężoną wiarę i nieprzyjacielowi dotrzymać należy, a zarazem zachęcali ażeby odwiedził Polskę i rozruchy wewnętrzne, jakoteż wojnę między Litwą a Mazowszem przytłumił. Król Władysław, uprzedzając przybycie tych posłów, wysłał bezwzględnie Jana Gruszczyńskiego do Piotrkowa, z uwiadomieniem Polaków, że wyprawę przeciw Turkom przedsięwziąć musi, że opuszczać panów chrześcijańskich nie może, pewny niezawodnego tryumfu i oswobodzenia ludów słowiańskich z pod jarzma tureckiego. Zapewnił w końcu, że po skończonej wojnie stawi się w Polsce. Przybycie Jana Gruszczyńskiego uradowało zebranych Polaków, którzy w tym widzieli troskliwość króla o sprawę własnego narodu: powstrzymali wyznaczonych posłów i przesłali tylko listy donoszące o stanie Polski.

Do zerwania zawartego pokoju z sułtanem wzięto za pozór, że w naznaczonym dniu załóg z zamków nie wycofał i niewolników zabranych nie wypuścił. Tymczasem Amurat w początkach października wszystkie warunki spełnił: zamki wrócił prawym właścicielom i wypuścił brańców z niewoli.

Król Władysław, po zerwaniu przymierza, jak wprzód z młodzieńczym zapałem pragnął walki, ufając w zwycięstwo, tak teraz, jakby przeczuwał przyszłość, osmutniał i ociągał wyprawę. Naglony natarczywie przez kardynała Juliana Cesariniego, ruszył dnia 19 października z Szegedynu, wśród wróżb najniepomyślniejszych. Kiedy kładł na siebie broń, upadł z ręki giermka szyszak, a koń, gdy miał nań wsiadać, strasznie rzucił się i wspinał. Poprzednio jeszcze, po odbytej radzie, na której postanowiono zerwać pokój, gdy każdy szedł przygotowywać się

do walki, powstało tak wielkie trzęsienie ziemi, że nie tylko pojedyncze gmachy, lecz wiele miast całych padło w gruzach, a wiele rzek koryta swoje zmieniło.

Turcy w Adrianopolu z przestachem dowiedzieli się o zerwaniu przymierza. Wojska pohańców zwracają się do Europy, a sułtan, płacąc po dukacie od głowy, przewozi je na statkach genueńskich. Cesarz grecki, ów Jan Paleolog, najnikczemniej postąpił: podbudzał Władysława do wojny, a nie chciał czy nie umiał bronić Turkom przeprawy przez Bosfor. Patrząc, niby nie widząc, jak najmowano w porcie statki genueńskie, z przebiegłością grecką obliczył korzyści jakie odniesie przez neutralność, spoglądając obojętnie na osłabienie w tych krwawych zapasach tak Turków jak i chrześcijan.

Amurat, złączywszy pod Adrianopolem wszystkie swe wojska, przechodzi szybko Bałkany i zbliża się ku Warnie. Władysław przebył Dunaj, tam gdzie Orszawa łączy z nim swe nurty. Tu go dopadł goniec z Polski: czytając listy, młody król zapłakał. Wkrótce stanął pod Nikopolem. Nie dobywając warownego grodu, spalił przedmieścia tylko. Naciągnął wojewoda multański *Drakula* we 4000 koni, a gdy przejrzał siły Władysława, złożone z 16,000 jazdy i 4000 piechoty wraz z krzyżownikami, rzekł przejęty smutkiem: „*Sułtan więcej mięca ludzi gdy wyjeżdża na łowy.*“ Doradzał więc królowi odwrót; lecz kardynał Julian Cesarini odpowiedział: „*Byle przejść Helespont, zastaniemy tylu swoich, ile będzie nas z pogany.*“ Na to, ruszywszy ramionami, odrzekł *Drakula*: „*Boże dajby tak było co ten ksiądz powiada.*“ Swojego syna zostawił z tym oddziałem; żegnał go z rozrzewnieniem dzielny ten a szlachetny wojownik, smutne mając o tej wyprawie przeczucie. Na trzy dni bowiem przed jego przybyciem do obozu królewskiego, sławna wieszczka bułgarska *Sekuza*, blisko sto lat licząca, zapytana przez niego o skutek tej wyprawy chrześcijańskiej, przepowiedziała że król nieszczęśliwie będzie walczył, że chociaż Turcy z razu zostaną odparci, w końcu odniosą zwycięstwo.

Opuszczając Władysława, zacny *Drakula* zostawił przy nim dwóch najdzielniejszych z pomiędzy swoich młodzieńców, doskonale świadomych dróg i miejscowości, i dwa wypróbowanej ręczności rumaki. Zaledwie lży powstrzymując: „*Oto masz, królu, rzekł, sposób do ratunku, gdyby jaki przypadek albo los nieszczęsny, o czym ze zgrozą myślę, zmusił cię powątpiewać o własnych siłach. Wolałbym aby te moje dary niepotrzebnymi dla ciebie były, co się z pewnością stanie, jeżeli życzenia moje i modły daremne nie będą; ale kiedy konieczność zmusi cię do ich użycia, przekonasz się jak zbawiennym był mój podarunek.*“

Zbliżają się hufce węgierskie, polskie i krzyżowców pod Warnę; niedługo liczne ogniska zwiastują bytność Turków. Złożono radę. Zdanie króla i Huniada wojewody przemogło: postanowiono uderzyć i stoczyć bitwę. Huniad, szczęśliwy zwycięzca z pod Szeben, Waskapu i Bałkanu, objął najwyższą hetmańską władzę, Władysław przeszedł pod jego buławę.

Pole walki jest doliną pagórkowatą, nierówną, pochyloną nieco ku południowi; na zachód i północ zamknięta górami i lasami, na południe długim jeziorem zwanym *Liman Dewno*. Cała przestrzeń do bitwy zaledwie pół mili kwadratowej obejmowała.

Armia turecka od obozu królewskiego stanęła na 4000 kroków. Pagórki zasłaniały pohańców. Noc była pogodna, księżyc na nowiu rzucał blade światło, ale ogniska wielkie rozpalone tak noc rozświeciły, jak dzień jasny i zwiastowały nie tylko bliskość wrogów, lecz i ogromne ich zastępy.

W obozie Władysława podwojono strażę i noc całą w milczeniu przygotowywano się do boju.

Huniad, obejrzawszy pilnie całe pole, na prawem skrzydle od gór północnych postawił największe siły: chorągiew węgierską pod dowództwem *Franko bana* (*); przy nim stał *Szymon z Rozgoni*, biskup agryjski. Był to klucz całej pozycji chrześcijan: stracone to stanowisko odcinało odwrót i wpędzało chorągiew na pewną zgubę między *Liman* i morze. Na lewem skrzydle stanęło pięć mniejszych chorągwi węgierskich i *Wołochy Drakuli*; środek zajmował kardynał *Julian Cesarini* z krzyżowcami.

Drugą linią bojową i rezerwę zarazem, stanowił

na prawem skrzydle *Jan*, biskup waradyjski, z chorągwią św. *Władysława* i oddział Polaków pod wodzą *Leszka Bobrzyckiego*, który dowodził zarazem i taborem rozłożonym dla zasłonięcia odkrytego skrzydła. W środku stanął król *Władysław*, na czele 500 nadwornej jazdy polskiej i węgierskiej; chorągiew królewską z wyobrażeniem św. *Jerzego* niósł *Stefan z Bator*. *Huniad* ze swoim hufcem przy królu stanął.

Turcy uszykowali się w półkole: lewe skrzydło wiodł *Karadza bejlerbej* *Anatolii*; prawe *Turachan bejlerbej* *Rumelii*; środek zajął sam sułtan *Amurat*, z wyborem piechoty najwaleczniejszych janczarów.

Prawe skrzydło armii *Amurata* zakryte było murem, lewe stromemi wyżynami góry *Hemus*, środek zaś zasłaniał szeroki i głęboki okop, którego przeznaczeniem było wstrzymać niepowściągnięte natarcie jazdy polskiej i węgierskiej. Na wyniosłym brzegu tego okopu zatkniętą była włócznia, na żelazcu której wisiała, jako dowód krzywoprzysięstwa chrześcijan i słuszności sprawy *Amurata*, traktat rozdarty i przysięga szegedyńska zgwałcona.

Było to o świcie 10 listopada: czekano światła jutrzeńki dla rozpoczęcia morderczego boju. Dzień zajaśniał,—hasło bitwy zabrzmiało od gasnących ognisk tureckich.

Cisza była w powietrzu, kiedy niespodzianie powstała straszna wichura. Chwilę tylko trwała, ale poszarpała chorągwie chrześcijan, a porzecz królewski rozdarłszy, pokruszony obaliła. Smutna to była wróżba: najmężniejsze serca uderzyły trwogą.

Sześć tysięcy spahów spuszcza się ze wzgórz na prawe skrzydło chrześcijan; *Franko ban* uderza, rozbija, i na karkach ich wpada na wzgórze. *Karadza* widzi klęskę swoich, na czele liczniejszy hufców uderza i spędza z gór zwycięzców; ale *Franko ban* na dolinie zbiera swe zastępy, zwraca je na Turków i łamie ich szeregi powtórnie. Na ten widok biskup waradyjski i *Szymon z Rozgoni*, pragnąc stanowczą klęskę pohańcom zadać, posuwają się naprzód; ale ich hufce rozbiegają się, nim spotkały się na ostre, i obaj giną. Turcy na zmęczone zastępy *Franko bana* napadają, zmuszają je do odwrotu i pędzą do taboru. *Leszek Bobrzycki* z Polakami dzielny stawia opór; ale kilkakroć ciężko ranny, spada umierający z konia. *Karadza* zwycięża, zaczyna dobywać taboru i rabować wozy. Bitwa staje się ogólną: Turcy napadają na krzyżowców kardynała i na lewe skrzydło. Król i *Huniad*, widząc porażkę prawego skrzydła, uderzają z całym pędem i zapałem na pohańców. *Karadza* ginie od cięcia szabli *Władysława*. Śmierć wodza rzuca postrach na Turków, odżywia rycerstwo chrześcijańskie,—zwycięstwo wydarte pohańcom.

Tymczasem lewe skrzydło, pod naciskiem przemownych sił *Turachana bejlerbeja*, chwiać się zaczyna. *Huniad* spieszy mu w pomoc, łamie szyki tureckie i pędzi je w popłochu. Cała linia krzyżowców z okrzykiem zwycięstwa posuwa się naprzód. Pohańcy rozbici uciekają bezładnie. Już sam *Amurat* zachwiał się, spojrzawszy w tył, i odwracając głowę swojego rumaka w stronę morza, zdawał się mierzyć przestrzeń, która mu zostaje do ucieczki.

Wówczas to *Karadza* (dowódzca piechoty europejskiej) pokryty krwią i pyłem bitwy, rzucił się do cugli konia swojego pana wołając: „*że jeżeli sułtan ma umrzeć, winien umrzeć w napadzie na wrogów, a nie tył im podając.*“ Na ten giest *Karadzy*, jakiś oficer janczarów, zwany *Jezidyj Toghana*, sądząc że *bejlerbej* zagraża sułtanowi, rzucił się z szabłą, chcąc nią odciąć rękę, która trzymała konia za cugle; ale z nim miecz *Toghana* spadł na rękę *Karadzy*, jakiś jeździec polski, uniesiony przez konia, wpadłszy aż w środek orszaku sułtańskiego, rozplątał na dwoje głowę janczara, który padł pod nogi sułtana. *Amurat* zaś, któremu zimna krew *Karadzy* po wróciła dawne męstwo, sam stanął jak prosty żołnierz u wylomu w przykopie zrobionego, a porwawszy w rękę włócznię na której była zatknięta zgwałcona przez chrześcijan przysięga, potrząsnął nią, jako chorągwią zjednoczenia dla swoich janczarów. Janczary stanęli murem. Długie tarcze wbijając w ziemię, zakryci niemi, wypuszczali grady strzał, srodze raniąc chrześcijan.

Król *Władysław*, widząc pewne zwycięstwo, leciał naprzód ze swym hufcem, nie bacząc że krzyżowcy nie uderzają z nim razem na ostatni zastęp janczarów, ale rozsypują się bezładnie za łupem. Młody bohater zagrzewa szczupły swój zastęp i ze wznie-

(*) *Franciszek z Talloca*, ban *Slawonii*.

między-narodowych stosunkach kraju naszego. Skutki ogromne, acz dzisiaj jeszcze obliczyć się nie dające, zwłaszcza pomnąc na to, że jednocześnie z ukończeniem wspomnianej drogi otwartą będzie dla handlu znaczna część wielkiej sieci dróg żelaznych rossyjskich, mającej zetknąć się w Warszawie z drogami żelaznymi królestwa polskiego.

Korzystne widoki jak na zasadzie powyższych uwag rokować możemy przedsiębiorstwu budowy drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej, utwierdzi jeszcze pogląd na stosunki miejscowe, wewnętrzny ruch na tej drodze utrzymywać mające (*).

Od Łowicza do granicy pruskiej droga rzeczona przechodzić będzie okolicę bogatą, gęsto zaludnioną, trzymającą w kraju naszym pierwsze miejsce tak pod względem rolniczym, jako i przemysłowym.

Warunki te zapewniają drodze znaczny miejscowy ruch osób, który nadto zasilany będzie z dalszych okolic przez schodzące się w Krośniewicach główne trakty: poznański, kaliski i łęczycko-włocławski. Nareszcie na powiększenie tegoż ruchu wpływać także będą: miasta Kutno, Włocławek i Nieszawa, jakoteż zakład kąpiel w Ciechocinku.

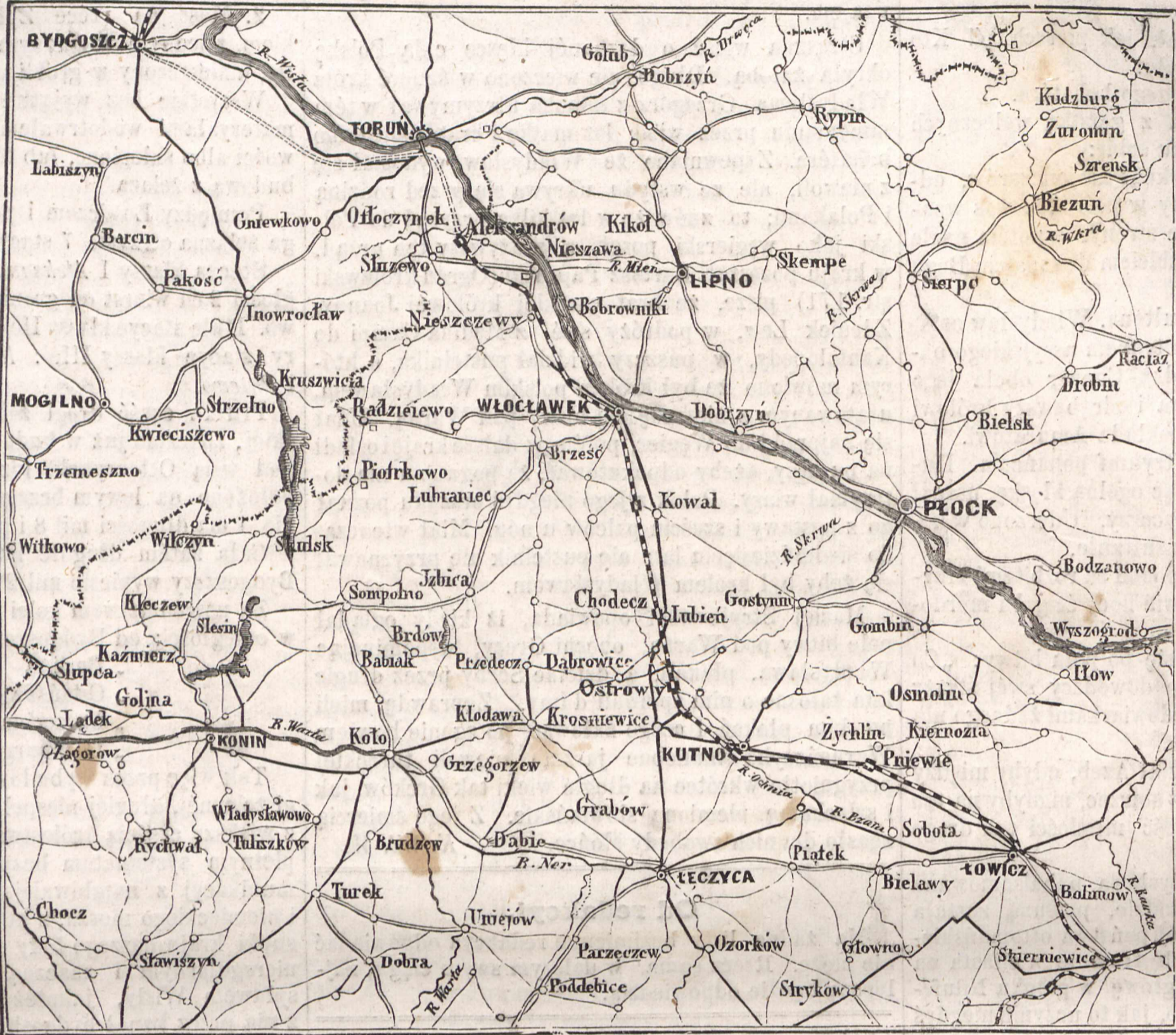
Liczne fabryki, jakie w ostatnich czasach powstały i rozwinęły się w tej właśnie stronie kraju, kędy

(*) Następne uwagi co do wewnętrznego ruchu drogi żelaznej warszawsko-bydgoskiej, czerpane są z treściowej rozprawy rady stanu Wysockiego, zamieszczonej w Gazecie Warszawskiej z d. 7 kwietnia r. b. N. 94. Nadmienić przytem winniśmy: że pierwotna myśl założenia drogi żelaznej z Łowicza do Bydgoszczy, od lat kilku powzięta i najgorliwiej propagowana, należy się p. Wysockiemu. (Przyp. red.)

droga warszawsko-bydgoska przebiegać będzie, wyniszczyły miejscowe lasy i spowodowały niedostatek paliwa, coraz dotkliwiej czuć się dający. Ztąd więc niezbędny już dla okolicznych węgla kamienny, będą-

Akt nadawczy na tak ważne dla kraju naszego dzieło, udzielony został prywatnemu towarzystwu ukazem Najwyższym z dnia 28 września (10 października) 1857 roku. Wiadomo jest powszechnie, jakie wkrótce potem zaszły w Europie wypadki, które zachwiały we wszystkich państwach publiczny kredyt i usunęły kapitały od wszelkich przemysłowych przedsięwzięć, chociażby one rokowały w przyszłości największe korzyści. W okolicznościach takich umieszczenie akcji drogi żelaznej, opartych wprawdzie na poręczeniu rządowym, na dochód i umorzenie 4 1/2 procent od kapitału oznaczonego rs. 45000 za każdą wiorstę drogi, zdawało się prawie niepodobnym. Lecz trudności te zwalczyła wytrwałość głównego założyciela i prezesa towarzystwa, Hermana Epsteina. Dokonanej przez niego finansowej operacji zawdzięczamy pewność, że w ciągu przyszłych 2ch lat kraj nasz będzie uposażony tak użyteczną komunikacją. Bo według kontraktu zawartego o budowę drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej z przedsiębiorcami braćmi Rische i spółka, droga ta otwartą być ma dnia 1 listopada 1861 roku z Łowicza do Kutna, dnia 1 września 1862 roku z Łowicza do Włocławka, a dnia 10 października tegoż roku, czyli w terminie oznaczonym umową nadawczą, cała długość drogi z Łowicza do granicy pruskiej oddaną zostanie do publicznego użytku.

Część pruska od Otłoczyńska do Bydgoszczy już w roku przyszłym eksploatowaną będzie.



MAPPA DROGI ŻELAZNEJ WARSZAWSKO-BYDGOŚCIEJ.

cy na wielu drogach żelaznych głównym i najpewniejszym źródłem dochodów, stanie się także ważnym przedmiotem wewnętrznego frachtu kolei warszawsko-bydgoskiej, a mianowicie do cukrowni Dobrzelin, Budzyna, Oporów, Strzelce, Sójki, Łanięta, Ostrowy, Szubsk i do innych fabrycznych zakładów, których liczba wzrośnie niewątpliwie z uchynieniem niedostatku paliwa.

Obok tego potrzebne zakładom tym materiały i surowe produkta, a następnie wychodzące z nich wyroby, dadzą także drodze żelaznej znakomite transporta.

Niemniej ważnym dla drogi tej frachtem będzie wapno, dostarczane całej zachodnio-północnej stronie królestwa z wapielni położonych nad koleją żelazną warszawsko-wiedeńską. Z rozwinięciem i pomnożeniem wspomnianych wapielni, dostawa materiału tego rozciągnie się do wschodnich Pruss, zaoopatrywanych dotąd wyłącznie wapnem szląskim, znacznie dłuższego transportu wymagającym!

Produkowana w warzelniach ciechocińskich sól, będzie wyłącznie za pośrednictwem kolei bydgoskiej do właściwych magazynów dostawiana. Produkcja tej soli dotąd mało rozwinięta, zwiększy się zapewne skutkiem ułatwień, jakie dla jej wywozu droga żelazna dostarczy.

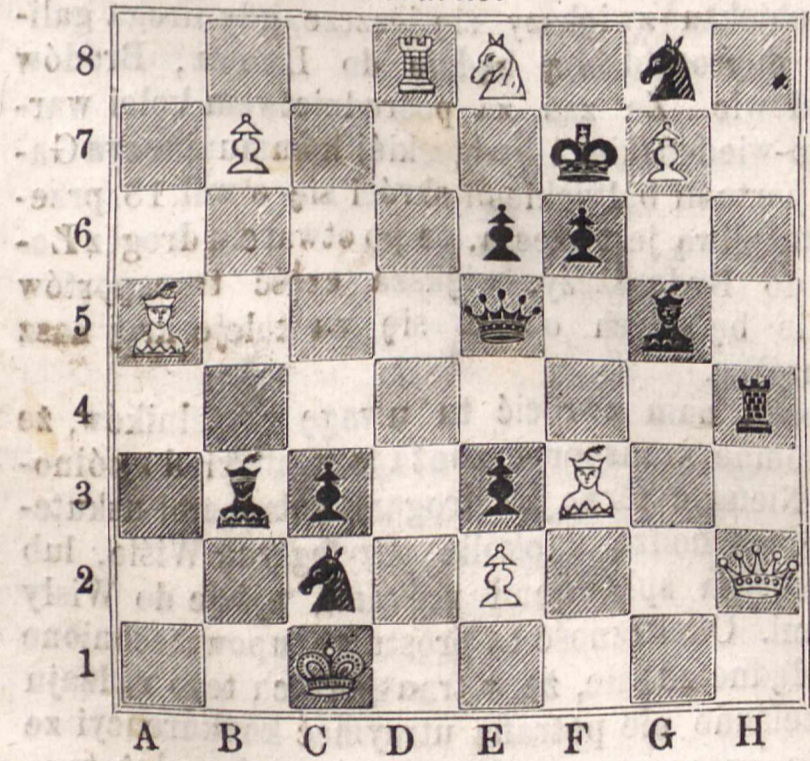
Nareszcie liczne i różnorodne frachty w płodach rolniczych i w wyrobach fabrycznych, przewożone będą drogą żelazną, z traktów poznańskiego, kaliskiego i łęczyckiego, od Krośniewic do Warszawy i Włocławka, odwrotnie zaś towary i produkta wysyłane z punktów tych na wspomniane trakty.

Skreślony tu pokrótce obraz między-narodowych i wewnętrznych stosunków, w jakich znajdzie się droga żelazna warszawsko-bydgoska, rokuje bez wątpienia najpomyślniejsze widoki dla towarzystwa akcjonariuszów budowę onej przedsięwziętych, a zarazem pozwala ocenić niezmiernie korzyści jakie ogół z komunikacji tej odniesie.

SZACHY.

ZADANIE XLI.

Białe zaczynają i dają matę za 4ém posunięciem. Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 40.

Białe.

Czarne.

- 1) D 2 — D 1 1) F 4 — G 3 biorą.
- 2) D 1 — G 4 biorą . . . 2) D 5 — C 6 albo D 6.
- 3) G 4 — D 7 † i mat.

Końcówka ta przedstawia kilka odmian, których tu, dla braku miejsca, nie wypisujemy; w każdym jednak razie mat następuje za 3ém posunięciem, a podana tu obrona czarnych est najlepsza.

REBUS.



NASTĘPCA MACHOMETA



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 58.

Wśród zabaw i bez pracy,
Panowie pędzą życie lżejsze niż biedacy.